AUTOR „CZERNI I PURPURY”
POWRACA DO TEMATYKI WOJENNEJ!

Amerykanka

PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O KOBIECYM LOSIE,
MIŁOŚCI I BAŁKAŃSKIM AUSCHWITZ

WOJCIECH DUTKA

LiRA
WYDAWNICTWO

Amerykanka

WOJCIECH DUTKA

Amerykanka

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023
ISBN: 978-83-67654-09-8

PROLOG

Na pokładzie liniowca „Andrea Doria”, 20 lipca 1956

Wielki statek „Andrea Doria” wypłynął tego dnia z Genui z ponad tysiąc pięciuset pasażerami na pokładzie. Był to najnowszy i najnowocześniejszy włoski liniowiec pasażerski, który zabierał w rejs transatlantycki bogatych biznesmenów, dyplomatów, emigrantów i ludzi spragnionych przygód. W obszernych pomieszczeniach znajdowały się luksusowe meble i dzieła sztuki współczesnej; kajuty pasażerów wyposażono w telefony umożliwiające połączenie z lądem. Do dyspozycji były baseny, kręgielnia, kawiarnie, puby i liczne restauracje, gdzie można było przyjemnie spędzić czas i pogawędzić ze współtowarzyszami o niczym.

Rejs jest czasem zawieszenia, jedni pasażerowie nie mogą się doczekać kontaktu z lądem, inni odegnać od siebie przeszłości. W tej drugiej grupie był niemiecki biznesmen Maksymilian von Hoym, jeden z szefów rady nadzorczej firmy Volkswagen, który podróżował z Genui do Nowego Jorku. Towarzyszyła mu siostra, młodsza od niego o osiem lat — elegancka i pełna wyrafinowania kobieta. Miała na imię Anabelle.

— Maksymilian, chodźmy, proszę, do kawiarni.

Było ciepłe popołudnie, choć od oceanu wiała lekka bryza. Maksymilian miał na sobie elegancką koszulę w kolorze błękitnym, ale na plecy zarzucił lekki sweterek,

na wypadek gdyby wiało od otwartych szeroko drzwi największej kawiarni na górnym pokładzie. Anabelle była w doskonałym humorze i cieszyła się, że brat zabrał ją w rejs do Ameryki. Płynęła tam po raz pierwszy. Brat i siostra mieli jedną zasadę, której starali się przestrzegać zawsze, gdy podróżowali lub spotykali nowych przyjaciół i znajomych: nie mówimy o przeszłości — *die Vergangenheit* jest przestrzenią zamkniętą. Nie sposób wydobyć z niej już niczego — wspomnień, kontaktów, doświadczeń ani tym bardziej żadnego poczucia winy. Maksymilian von Hoym i jego siostra zapewne nie przeczytali tekstu Karla Jaspersa o niemieckiej winie*, ale nie dlatego, że by go nie zrozumieli, tylko dlatego, że nie chcieli. Dla nich ten tekst przywoływał *die Vergangenheit*, a oni wyrzucili tę kategorię ze swoich egzystencji. Dla nich przeszłość została wymazana. Przestała istnieć. A oni, Niemcy nowocześni i europejscy, chcieli żyć bez poczucia winy.

Maksymilian i Anabelle von Hoym zasiedli więc w kawiarni na wygodnych fotelach. Kelner, młody włoski chłopak, błyskawicznie do nich podszedł. Zamówili dwie kawy po irlandzku i spory zapas wody mineralnej. Anabelle miała ochotę pójść wieczorem do kabaretu, mimo że nie mówiła po włosku. W pewnej chwili Maksymilian zauważył, że do kawiarni weszły dwie zakonnice. Nie znał się na żeńskich katolickich zgromadzeniach, ale jego uwagę przykuła twarz jednej z kobiet. Wydawała mu się przerażająco znajoma. Zakonnice usiadły o trzy stoliki

* Karl Jaspers, *Problem winy,* esej opublikowany w 1946 r.

dalej i teraz Maksymilian był już pewny, że zna jedną z nich. Żywił płonną nadzieję, że ona nie spojrzy w jego stronę i nie zobaczy go, ale na zamianę miejsc z siostrą było za późno. Anabelle — spostrzegawcza kobieta — zauważyła, że brat stał się jakiś nieswój, zdenerwowany.

— Nie odwracaj się — poprosił.

— Czy coś się stało? Wyglądasz, jak gdybyś zobaczył ducha — powiedziała Anabelle, nie wiedząc, że trafia w sedno.

— Co za bzdury mówisz. Duchy nie istnieją.

Mieli w zwyczaju tak się przekomarzać o zdania, które wypowiadali. Lubili te zabawy, ale tym razem siostra dostrzegła w bracie niemal niedostrzegalną, ale jednak dla niej zauważalną, przemianę. Jej Maksymilian nie był sobą — pod wpływem nieokreślonego wrażenia stawał się kimś, od kogo sam chyba chciałby uciec. Anabelle nie mogła się powstrzymać i odwróciła głowę. Zauważyła dwie zakonnice. Jedna z nich również spojrzała w ich stronę — w chwili, gdy Anabelle na nie patrzyła. Wydawało się jej, że wzrok zakonnicy spoczął na Maksymilianie. Ale zaraz zdała sobie sprawę z tego, że kobieta patrzy także na nią. Poczuła się z tym źle, ale nie na tyle, by wydobyć jedną konkretną twarz z obszaru zapomnienia. Przez ostatnie kilka lat Anabelle znów żyła na odpowiednim poziomie, bez wyrzutów sumienia i bez refleksji — przecież ona nie zrobiła nic złego. Nikogo nie zabiła. Nikogo nie skrzywdziła. Ale widząc twarz zakonnicy, na jedną chwilę musiała wrócić do przeszłości i zmierzyć się z tamtą twarzą. Uciekła od tego. Nie chciała uwierzyć w to, co zobaczyła.

— Chodźmy stąd, proszę. — Maksymilian zareagował gwałtownie.

Nie dopili kawy. Opuścili kawiarnię. Maksymilian szedł szybko, zostawiając siostrę z tyłu. Przeszli pół pokładu i zajęli miejsce w pubie na rufie — dwa miejsca na wysokich krzesłach obok baru były wolne. Szybko zamówił dwie podwójne szkockie z lodem. Miał ochotę się napić. Najchętniej wypiłby całą butelkę i zasnął pijackim snem. Gdyby był sam, zapewne tak by postąpił, ale jego obecności domagała się siostra — nie mógł jej zignorować.

— Czy możesz mi powiedzieć, co właściwie się stało? — zapytała Anabelle, która po raz pierwszy ujrzała brata w takim stanie.

Maksymilian wypił niemal duszkiem podwójną szkocką. Skinął na barmana, by nalał następną kolejkę.

— To była ona — wydusił z siebie.

— Co takiego? — I nagle zrozumiała. — To niemożliwe.

— To na pewno jest ona. Mam dobrą pamięć do twarzy, Anabelle — rzekł Maksymilian von Hoym. — Wszystko się zgadza. Oprócz tego habitu.

Anabelle czuła, że kiedyś dojdzie do takiej rozmowy, że brat zacznie sam z siebie mówić o wojnie. Nigdy nie zadawała pytań: co, gdzie i kiedy. W Niemczech takich pytań się po prostu nie zadawało.

— Ona stanowi dla mnie zagrożenie — stwierdził w końcu, czym wprowadził siostrę w prawdziwe osłupienie.

— Co może zrobić? — parsknęła Anabelle.

— Ona mnie zna — rzekł Maksymilian, patrząc jej w oczy. — Wie o mnie wystarczająco dużo, żebym zawisnął na amerykańskim stryczku.

— Nie wykonuje się już wyroków — uspokajała go siostra. — Ludzie chcą zapomnieć, normalnie żyć. Spróbuj tak.

— To było możliwe do dziś, Anabelle.

To miał być bardzo długi wieczór na „Andrei Dorii".

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I
Przesyłka

Dwadzieścia lat wcześniej,
Nowy Jork, maj 1936

Wiosna w Nowym Jorku potrafi być zachwycająca. Zwłaszcza gdy w ogrodach willi klasy wyższej zakwitną magnolie. Mecenas Samuel Singer uwielbiał magnolie i zawsze uważał, że szybko opadające kwiaty są odzwierciedleniem życia ludzkiego, gdyż i ono miało się szybko kończyć.

Tego wiosennego dnia mecenas kończył urzędowanie w przestronnym i świetnie umiejscowionym biurze na dolnym Manhattanie, gdy posłaniec przyniósł zaadresowaną do niego paczkę. Samuel zdenerwował się, bo miał zamiar zdążyć do domu na gorącą kolację, którą przygotowywała jego żona Elisabeth. Jednak postanowił otworzyć przesyłkę. Rozciął grubą tekturę i zajrzał do środka. We wnętrzu paczki znajdowały się list oraz zawinięta w gazety… ryba. Była świeża, ale jej przenikliwy zapach zdążył się rozprzestrzenić po biurze. Widząc ją, Samuel poczuł gwałtowne przyspieszenie akcji serca,

wiedział bowiem doskonale, co w języku gangsterów oznaczała ryba w gazecie. Drżącą dłonią wyciągnął list, który był zaadresowany do niego. Otworzył go i przeczytał, po czym włożył z powrotem do koperty. Pozbierał swoje rzeczy i wyszedł. Rybę w gazecie wyrzucił do kosza przed kancelarią. Ruszył do domu. Całą drogę analizował sytuację. Mógł jedynie podejrzewać, dlaczego otrzymał przesyłkę, która w języku mafii oznaczała jedno — ostrzeżenie.

Ktoś wie. Pomyślał o swojej córce.

Samuel Singer kochał Jane ponad wszystko. Ze starszym synem, Michaelem, miał same kłopoty. Nie było bowiem miesiąca, by papa nie spłacał długów karcianych albo wynajętych przez synka panienek lekkich obyczajów z Bronxu. Szczególnie te drugie były hańbą dla rodu, więc Samuel stanowczo przykazywał służbie, aby nigdy i pod żadnym pozorem nie opowiadała żadnych sensacji z tym związanych. Żył jednak podwójnym życiem, choć taka schizofreniczna maniera w czasach prohibicji nie była niczym nadzwyczajnym. Zbyt mocno kochał rodzinę, aby mówić otwarcie o tym, kogo reprezentował w czasach, gdy nie można było w żadnej restauracji kupić nielegalnie alkoholu. Prohibicja wyniosła na szczyt i obaliła wiele gangsterskich fortun. O tych rzeczach nie należało mówić, a już na pewno nie w szabat.

W domu czekała kolacja… i nienasycony Michael.

— Ojcze, chcę żebyś dał mi tysiąc dolarów — oświadczył, gdy już ojciec odmówił modlitwy i nalał wszystkim uczestnikom kolacji po kielichu czerwonego wytrawnego wina.

— Nie mówimy o tym podczas kolacji szabasowej — odrzekł Samuel, który właśnie zamierzał zjeść gotowane jajko w solance.

— Mój brat sprzedałby mnie, gdyby mógł — rzuciła Jane.

— Papo, niech Jane się ode mnie odczepi! Mam długi i muszę je spłacić — powiedział bezceremonialnie Michael, o którym wszyscy w rodzinie wiedzieli, że spędzał w kasynie w Atlantic City każdy weekend.

— Niech tata nie daje temu darmozjadowi ani centa! — Wzburzona Jane nie mogła znieść tego, jak Michael trwonił pieniądze ojca.

— Kochanie, jak możesz!!! — oburzyła się matka, pani Elisabeth Singer-Coulfield, dla której przed dwudziestu sześciu laty syn pobożnej żydowskiej rodziny, Samuel Singer, popełnił mezalians. Ożenił się z nią, bo kochał ją naprawdę szaleńczo, a Angielka Elisabeth przeszła dla niego na judaizm. Kobieta zawsze brała stronę syna, kierując się zasadą: synek mamusi, córeczka tatusia.

Zbyt wiele emocji pojawiło się tego wieczoru, a przecież Samuel nie pogodził się jeszcze z treścią przesyłki. Musiał zaczekać na bardziej odpowiedni moment, żeby zdradzić największą rodzinną tajemnicę. Uważał, że szczególnie Jane ma prawo do prawdy.

— Proszę was, nie podczas kolacji szabasowej! — uniósł głos, uciszając wszystkich. — Stwórzmy przynajmniej pozory szanującej się i kochającej rodziny.

Rodzina Samuela należała do elity finansowej i intelektualnej Nowego Jorku. Mieli znajomych

w rodzinach związanych z Partią Demokratyczną i chodzili do umiarkowanej synagogi na Brooklynie. Samuel był świetnym adwokatem, zarabiał wielkie pieniądze, ale błysnął w czasie wielkiego kryzysu — prowadził sprawy biednych ludzi i nie brał za to ani centa. Uchodził za znajomego Eleanor Roosevelt, wpływowej żony prezydenta — a znajomość z nią otwierała wiele drzwi. Zresztą cała ich rodzina podzielała szczerze jej poglądy i angażowała się w zbiórki publiczne dla biedaków (dzięki New Deal* Ameryka dopiero co zaczęła wychodzić z nędzy wielkiego kryzysu), a on sam prowadził kilka spraw w obronie Afroamerykanów, co w tamtym czasie było świadectwem odwagi cywilnej. Jane dorastała więc w rodzinie szczodrej, otwartej i szukającej przyjaźni i koneksji u innych ludzi. Samuel i Elisabeth mieli przyjaciół w domach protestanckich, ortodoksyjnie żydowskich, katolickich, a nawet szczerze i głęboko niezwiązanych z żadną religią czy wyznaniem religijnym. Żyli i działali w światopoglądowym mainstreamie Nowego Jorku, miasta emigrantów, swoistego świata wewnątrz Stanów Zjednoczonych, nazywanego najgorszym lub najwspanialszym miastem świata.

Jane potrafiła postawić na swoim i zawsze znajdowała argumenty. Czytała mnóstwo książek, aż ojciec musiał jej zwrócić uwagę, że sięga po nieobyczajne powieści — jak *Portret Doriana Graya* czy *Wielki Gatsby* — w żadnym

* New Deal – program reform ekonomiczno-społecznych; został wprowadzony przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta w latach 1933–1939; miał przeciwdziałać skutkom wielkiego kryzysu.

razie nieodpowiednie dla obyczajnej żydowskiej dziewczyny z dobrego, mieszczańskiego domu.

— A kto mówi, dobry, kochany papo, że jestem skromna, obyczajna i grzeczna? — zapytała słodko córeczka, która tą odpowiedzią wprawiła swego rodzica w rodzaj niezwykle krępującego zakłopotania.

To były lata licealne. Jane chodziła do prywatnej żeńskiej szkoły na Manhattanie i robiła tam furorę. Rodzice zapisali ją przezornie do szkoły pod nazwiskiem matki i wszędzie funkcjonowała już jako Jane Coulfield. Miała najlepsze oceny z łaciny, angielskiego, literatury angielskiej, francuskiego i filozofii. Co zdumiewało koleżanki, grono nauczycielek i dyrekcję — osiągała świetne wyniki w pływaniu. Dziewczyna uwielbiała pływać i była w tym naprawdę dobra. Wygrała dla szkoły mistrzostwo stanu w roku 1933! Jednak aktywność fizyczna nie mogła równać się z zakochaniem się dziewczyny w… filozofii. Właśnie z tym przedmiotem niesforna nastolatka wiązała swoje nadzieje na studia wyższe.

— Żadną miarą! — zaoponował ojciec, gdy powiedziała mu o tym po raz pierwszy. — Twoją rolą jest bycie żydowską żoną! Masz być panią domu!

— W takim razie wolę umrzeć, papo, bo bez literatury i bez filozofii, bez teatru i bez muzyki nie chcę żyć — rzekła zrozpaczona Jane z takim przejęciem w głosie, taką wiarą w to, co mówi, że stary Samuel Singer odpuścił.

— Gdzie chcesz studiować?

— Na Harvardzie.

Samuel ukończył wydział prawa tej uczelni i znał tam wiele osób. Jane miała wystarczająco dobre oceny, by

złożyć podanie o egzamin na studia — zdała go porywająco, wprawiając tym rodzinę w osłupienie. Jej brat, Michael, wybałuszył oczy i zapytał:

— To Jane dostanie moje pieniądze na czynsz w Bostonie?

— Nie tylko je dostanę, ale zabiorę ci twoje udziały w firmie, nicponiu. Papa powinien wynająć prywatnego detektywa, żeby sprawdzić, czy gdzieś w przytułku dla samotnych dzieci nie ma jakiegoś wnuka. Lub wnusi — odparła słodko i złośliwie Jane. Uderzyła w najczulszy punkt Michaela, czyli mniemanie, że jest dżentelmenem (prawdziwy dżentelmen nie pozwoliłby sobie na dzieci pozamałżeńskie, i to jeszcze w przytułku).

— Ja nie zgadzam się na takie traktowanie! — krzyknął histerycznie Michael, który uważał się za ważniejszego dla rodziców niż wścibska, wiecznie zanurzona w książkach Jane.

— Ty, Jane, ciągle czepiasz się brata! — Do awantury oczywiście włączyła się matka, zawsze broniąca swojego synusia przeciwko córeczce papy.

Tak to ich rodzina kłóciła się, sczepiała w emocjonalnym spleenie i rozluźniała w gwałtownym *tête-à-tête*, a gdy emocje opadły, wszyscy sięgali po szklaneczkę dwudziestoletniego burbona. Te awantury wyczerpywały Jane i czekała z niecierpliwością, aż w końcu wyjedzie na studia do innego miasta. Ojciec załatwił jej stancję u wuja, znanego bostońskiego marszanda, który miał stosunki w Europie, szczególnie we Francji.

*

W Bostonie — mieście na wskroś wolnym i niegodzącym się na niesprawiedliwość, mieście, w którym żył i tworzył Ralph Waldo Emerson — Jane zderzyła się z amerykańską filozofią na poziomie uniwersyteckim. Była na wydziale jedyną kobietą. W owym czasie kariery uniwersyteckie na Columbii robiły Ruth Benedict czy Margaret Mead, na Yale w dziedzinie matematyki błysnęła Grace Hopper. Jednak na Harvardzie kobietom było w owym czasie ciężko. Jako pierwsza profesorką została Cecilia Payne, ale na wydziale astronomii. Jane Coulfield dzielnie przeciwstawiała się dominacji mężczyzn i siadała w pierwszym rzędzie na sali wykładowej.

— Czy pani zna kobiety filozofki? — zapytał kiedyś profesor logiki John Cackshaw.

— Znam jedną: Hypatię, ale na początku piątego wieku naszej ery zatłukli ją mężczyźni nielubiący kobiet myślących samodzielnie bez zezwolenia mężczyzn — odparła natychmiast Jane w swoim stylu.

Profesor musiał przełknąć gorzką pigułkę. Jane najlepiej zdała u niego egzamin z logiki matematycznej i z Platona, którego tłumaczyła z oryginału bez słownika.

— Świetnie zna pani grecki — zauważył profesor.

— Miałam dobre liceum w Stuyvesant.

Jane zagłębiała się w lekturę Platona i Kartezjusza, którego nie znosiła szczerze za komplikowanie spraw prostych, polemizowała z czystym rozumem Kanta i odkryła, że od osiemnastego wieku filozofią rządzą Niemcy. Problemem było to, że nie znała ich języka. Zapisała się zatem na lektorat po sześć godzin dziennie.

Po drugim roku mówiła po niemiecku komunikatywnie, choć nie biegle, ale to już umożliwiało jej bierne czytanie tekstów filozoficznych. Wtedy poznała nowego lektora, który na Harvard przyjechał z Bambergu, z tamtejszego znakomitego uniwersytetu słynącego z filozofii i teologii.

Wchodząc na lektorat, spotkała człowieka, który miał naznaczyć jej życie. Był to nad wyraz elegancki i doskonale ubrany mężczyzna. Nosił garnitury szyte na miarę. Jane potrafiła bezbłędnie rozpoznać ubiór uszyty z klasą od niedrogiej tandety — jej papa zawsze miał garnitury szyte na miarę, po kilkaset dolarów za sztukę. Nawet w latach wielkiego kryzysu. Ten wykładowca też się tak nosił. Koszule — dobrane kolorystycznie. Na prawej dłoni, na palcu serdecznym — złoty sygnet, zapewne rodowy, co nie umknęło uwadze spostrzegawczej dziewczyny. Jane od razu pomyślała, że ów mężczyzna jest nader interesujący.

Był Niemcem, to wiedziała, ale nazwisko — Maksymilian von Hoym — nic jej nie mówiło. Brzmiało jak każde arystokratyczne niemieckie nazwisko. Po pół roku się przemogła i zapytała nauczyciela o prymat niemieckiej filozofii.

— Odpowiedź jest prosta — odparł. — Niemiecka filozofia jest najlepsza na świecie.

— Co za pewność siebie! My, w Ameryce, nazywamy to *self-confidence* i bynajmniej nie jest to cecha pozytywna. Nie na Harvardzie.

Maksymilian von Hoym miał około trzydziestu lat i rzeczywiście pochodził z rodziny arystokratycznej.

Nie przywykł do takiego języka. W Niemczech, przynajmniej w teorii, wszyscy znali swoje miejsce, ale ta młoda i zaskakująco zdolna Amerykanka okazywała *self-confidence* właśnie wobec niego.

— Czy pani coś zarzuca niemieckiej filozofii?

— Moje zarzuty dotyczą trzech obszarów. Po pierwsze: idealizmu, nazbyt skostniałego i nieliczącego się z rzeczywistością. Ale Hegel to najmniejszy jej problem. Po drugie, skłonność do ideologizacji, czego efektem jest Marks, a to przecież filozof niemiecki.

— A ja myślałem, że żydowski.

Jane odbiła natychmiast piłeczkę, choć podkreślenie pochodzenia brodacza z Erfurtu ocierało się o antysemityzm.

— Tyle w Marksie żydowskości, ile w pierwszych apostołach Kościoła.

Wykładowca nie wiedział nic o pochodzeniu dziewczyny.

— A pani trzeci zarzut?

— Całkowite pominięcie człowieka jako podstawowego problemu filozoficznego.

Maksymilian znał dobrze kobiety. W Jane zobaczył gwałtowne spiętrzenie intelektualnej energii, które go z lekka przeraziło. Dziewczyna była niezwykle atrakcyjna, robiła wrażenie ostrej jak brzytwa kobiety z *Błękitnego anioła* Marleny Dietrich, ale z niezwykłą głębią intelektualną. Polecił jej niektóre artykuły — przeczytała je wszystkie w dwa dni. Coraz częściej rozmawiali, kilka razy zjedli razem lunch. I zawsze mówili o książkach. W dzisiejszych Niemczech mamy filozofa największego

od ponad stu lat. Tak oto dowiedziała się o tym, że we Fryburgu Bryzgowijskim pracuje i udziela wykładów Martin Heidegger.

*

Jane nie pamiętała później, kto wpadł jako pierwszy na pomysł stypendium w Niemczech — ona czy Maksymilian. Jednak po zaliczeniu trzeciego roku studiów mogła bez problemu na podstawie uzyskanych ocen starać się o roczne stypendium filozoficzne i postanowiła spróbować. Dziekan, profesor Harding, wezwał ją na rozmowę w tej sprawie.

— Dlaczego pani chce jechać do Niemiec i do tego teraz?

— Trudno mi to wyjaśnić, panie profesorze — mówiła bez ogródek. — Wydaje mi się, że wewnętrznie nie zgadzam się z panującym tutaj paradygmatem filozoficznym.

— Czy mogłaby pani to lepiej wyjaśnić?

— Świetnie zdaję sobie sprawę z tego, że wiele osób marzyłoby, żeby studiować w tak elitarnym miejscu jak Harvard. I jestem za to wdzięczna losowi. Funkcjonują tutaj jednak dwa podstawowe paradygmaty filozoficzne, z którymi się nie zgadzam. Część profesorów dalej uważa heglizm za podstawę, a część kadry i doktorantów, nie wyłączając pana profesora, jest pragmatykami, co wynika z fascynacji spuścizną Wiliama Jamesa. Tymczasem ja odrzucam obydwa stanowiska.

— To wydaje mi się naturalne — rzekł profesor Harding.

— Tak, ale dla mnie naczelną wartością jest próba pokonania w sposób ostateczny spuścizny kartezjańskiej, a więc dualizmu ciała i ducha, która — z całym szacunkiem — jest największym obciążeniem nowożytnej i w szczególności niemieckiej filozofii, którą się zajmuję. Uczę się intensywnie niemieckiego, a pobyt właśnie tam, w Niemczech, bardzo pomógłby mi w potwierdzeniu lub obaleniu moich hipotez. Mamy na Harvardzie mały dostęp do niemieckiej literatury fachowej, a przyzna pan profesor, że mogłabym poczynić też dla instytutu pewne zakupy na miejscu, w Niemczech.

— Na jak długo planuje pani pobyt? — zapytał profesor Harding.

— Co najmniej rok.

— A czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co się tam dzieje?

— O ile mi wiadomo, do władzy doszedł Adolf Hitler, radykalny nacjonalista. Jednak proszę wziąć pod uwagę, że Niemcy i Stany Zjednoczone utrzymują dobre relacje. Nie widzę powodu, dla którego polityka miałaby stać się przeszkodą w moich badaniach.

— Dobrze — rzekł profesor Harding. — Przekonała mnie pani. Proszę napisać podanie, opisać plan pobytu, dokładny plan naukowy, ze szczególnym uwzględnieniem, jakie aspekty współczesnej nam filozofii niemieckiej chciałaby pani studiować. Proszę złożyć te dokumenty w moim sekretariacie, a ja powiadomię radę instytutu i przedłożę pani wniosek z moim poparciem.

— Dziękuję, panie profesorze.